



E-nonsensy pedagogiczne, czyli Wielki Brat patrzy

W opublikowanym w pierwszym numerze „Wokół szkoły” artykule „Dziecko w Domu Wielkiego Brata” poruszyłem temat wpływu, jaki nowoczesne technologie wywierają na wychowanie, a szczególnie, jak bardzo ich stosowanie może ograniczać rozwój życiowej dzielności dziecka. Rzecz dotyczyła telefonu komórkowego, a adresowana była przede wszystkim do rodziców, na których spoczywa cały niemal ciężar odpowiedzialności za wykorzystanie tego mobilnego urządzenia w życiu młodego człowieka. W tym miejscu napiszę o innych zjawiskach przybliżających wizję świata rodem z najbardziej mrocznych utworów science-fiction, które tym razem obciążają przede wszystkim władze oświatowe i nauczycieli, a jeżeli już rodziców, to tylko za łatwiejszą do wybaczenia nieświadomość.

Odwiecznym dążeniem biurokratów jest uporządkowanie życia społecznego. Nie inaczej rzecz przedstawia się w dziedzinie oświaty. Liczba aktów prawnych regulujących pracę szkół jest trudna do ogarnięcia. Jeszcze bardziej imponuje determinacja, z jaką Ministerstwo Edukacji Narodowej dąży do ujęcia działalności szkół w sztywne, urzędowe ramy. Mamy już świeżo rozbudowany system egzaminów zewnętrznych, odbywających się po klasie szóstej, trzeciej gimnazjum i w ramach matury. Są zakusy, aby testowanie rozszerzyć na wcześniejsze lata nauki, w celu „stałego monitorowania postępów uczniów”.

Mamy internetowy System Informacji Oświatowej (SIO), do którego bez końca wpisujemy w szkole dane, służące później (zapewne) do produkcji syntez, opracowań, raportów. Wiele informacji jest powiązanych z numerami PESEL poszczególnych uczniów. Ma to (podobno) usprawnić gospodarowanie środkami finansowymi kierowanymi do systemu oświaty. Jednak czy taka szczegółowość gromadzonych zapisów jest naprawdę niezbędna? Osobiście w to wątpię. Widzę natomiast realną perspektywę łączenia danych zapisanych w SIO z indywidualnymi wynikami egzaminów, gromadzonymi przez państwowe ośrodki egzaminacyjne, co doprowadzi do utworzenia bogatej kartoteki każdego ucznia, zawierającej dane dotyczące całej jego kariery edukacyjnej. Cóż w tym złego? Być może nic, ale, w moim pojęciu, wszechwiedza biurokracji zdecydowanie nie rokuje dobrze swobodom obywatelskim.

Mamy nadzór pedagogiczny, a w jego ramach zewnętrzną ewaluację szkół, prowadzoną przez wyspecjalizowanych wizytatorów. W czasach PRL-u nazywało się to wizytacją frontálną, teraz słowo „ewaluacja” ma świadczyć, że jest to coś jakościowo zupełnie

nowego. Polega na przyłożeniu obrazu szkoły, uzyskanego przez całe mnóstwo wywiadów, ankiet, no i oczywiście nieśmiertelną kontrolę dokumentacji, do szablonu zapisanego w rozporządzeniu w postaci dwunastu głównych wymagań. Również i w tym wypadku można zapytać, co z tego widzę w ujednoczeniu wymagań stawianych wszystkim szkołom. Ano to, że w majestacie prawa najważniejszą troską dyrektora każdej szkoły staje się tworzenie placówki takiej jak inne, a nie wyróżniającej się oryginalnością. Tymczasem, moim zdaniem, to różnorodność jest źródłem postępu.

Nowe technologie nie są wyłącznie narzędziem nadzoru pedagogicznego. Na naszych oczach zmieniają one życie coraz większej liczby społeczności szkolnych – nauczycieli, uczniów i rodziców. Oto bowiem wraz z upowszechnieniem internetu nadeszła era dokumentacji elektronicznej.

To ostateczne ucieleśnienie odwiecznych marzeń szkolnych biurokratów – cała działalność placówki sprowadzona do postaci bazy danych, czekającej tylko, aby wyciągnąć z niej dowolne zestawienie. Średnia ocen ucznia, klasy, szkoły, frekwencja, wykaz częstotliwości oceniania dzieci przez poszczególnych nauczycieli, zestawienia podejmowanych działań, raporty z efektów – a wszystko to pod szlachetnym pozorem budowania społeczeństwa opartego na wiedzy. Sztandarowym produktem tego kierunku rozwoju oświaty jest e-dziennik – najkrócej mówiąc, system gromadzenia informacji o osiągnięciach ucznia i udostępniania ich przez internet rodzicom.

Oto jak zalety tego wynalazku reklamuje producent jednej z dostępnych na rynku wersji. Dzięki e-dziennikowi troskliwy rodzic „ma możliwość bieżącej kontroli frekwencji dziecka w szkole, a co za tym idzie możliwość natychmiastowej reakcji na ewentualny problem wagarowania”.

Proszę zauważyć – problem wagarowania jest „ewentualny”, natomiast inwigilacja dotyczy wszystkich dzieci, także tych, które nigdy by na wagary nie poszły, albo uczyniły to – jak autor tego artykułu – ten jeden, jedyny raz, zachowując to jako słodką tajemnicę młodości.

E-dziennik umożliwia rodzicowi „stały dostęp do ocen dziecka z możliwością szczegółowej analizy postępów w nauce na podstawie precyzyjnych danych dotyczących daty wystawienia oceny, kategorii oceny, wagi oceny w liczeniu średniej oraz nauczyciela, który tę ocenę wystawił”.

Zapewne są nauczyciele, których praca znajduje idealne odzwierciedlenie w wystawianych ocenach. Starannie kategoryzujący zdarzenia, przypisujący ocenom odpowiednie wagi, dzięki którym powstaje optymalna średnia. Z pewnością są rodzice, którym możliwość zapoznania się z takim zestawieniem daje poczucie kontroli nad nauką dziecka. Niech będzie – w końcu od wielu dziesięcioleci rodzice wracali ze szkolnych wywiadówek niosąc w rekach dzienniczki lub kartki wypełnione ocenami. Mogli nawet użyć liczydła, a później kalkulatora, aby wyliczyć sobie cokolwiek, co z tych ocen wynikało. Prawdziwe niebezpieczeństwo kryje się w niewinnych słowach „stały dostęp”.

E-dziennik odbiera dziecku prawo do czasowego przynajmniej zachowania w tajemnicy przed rodzicami otrzymanych ocen. Kończy z pełnym niepewności oczekiwaniem na powrót mamy i taty do domu. Kończy z rozważaniami, jak wybrać najlepszy moment do przekazania nieprzyjemnej prawdy (z prawdą przyjemną kłopotu raczej nie ma). Innymi słowy: kończy z koniecznością samodzielnie poradzenia sobie w trudnej sytuacji. Z punktu widzenia wychowania to gorzej niż głupota – to błąd!

Jakie znaczenie może mieć prawo dziecka do tajemnicy, niech zaświadczy krótkie opowiadanie napisane kilka lat temu przez jedenastoletniego redaktora naszej szkolnej gazetki. Jego bohater otrzymał pewnego dnia w szkole pałą z arytmetyki. Po powrocie do domu leżał na tapczanie, pogrążony w czarnej rozpacz, myśląc o tym, jak bardzo pechowy jest ten dzień, kiedy nagle...

(...) do mojego pokoju wszedł tata i oznajmił, że... pójdziemy do kina!!! Ucieszyłem się niezmiernie. Ubrałem się i czekałem pod drzwiami. Po powrocie dostałem budyn czekoladowy. Mówcie co chcecie, ale moi rodzice są super!

A pała z matmy? Powiem o tym, jak poprawię albo tata dowie się na zebraniu. Przecież uczeń bez pały, to jak żołnierz bez karabinu!

Paweł Borowski, „Niespodzianka”, Gazeta z rogami nr 2/2009/2010

Dzieci są różne. Niektóre w poczuciu winy chcą jak najprędzej powiedzieć rodzicom, że wydarzyło się coś złego. Czasami chodzi przy tym o przedstawienie własnej wersji wydarzenia. Inne – tak jak bohater opowiadania – wolą sprawę ukryć, w nadziei, że wyjaśni się zanim wyjdzie na jaw. Z punktu widzenia wychowania najważniejsze jest, że mają wybór i muszą podejmować decyzje. A jak wyglądałaby sytuacja naszego bohatera, gdyby rodzice mieli zwyczaj codziennego kontrolowania zawartości e-dziennika, albo, co gorsza, wykupili usługę powiadomienia SMS-em o pojawieniu się nowej oceny? Nie byłoby kina, nie byłoby budyniu czekoladowego. Dzień byłby naprawdę pechowy, a wieczorna atmosfera w domu – bardzo nieprzyjemna.

Wyobrażam sobie i rozumiem rodziców, którzy przeczytawszy powyższe obruszą się, bowiem uważają, że ich prawem i obowiązkiem jest wiedzieć – niezawodnie i jak najszybciej – o wszystkim, co dotyczy dzieci. Ale współczuję im i ich dzieciom. Muszę jednak przyznać, że elektroniczna dokumentacja jest zbyt wygodna – także w pozytywnym tego słowa znaczeniu – by oczekiwać, że nie upowszechni się ona w systemie oświaty. Być może niedługo stanie się wręcz standardem, obowiązkowym z każdej szkole. Dlatego gorąco namawiam wszystkich rodziców, których dzieci nie dały wcześniej powodu do ograniczenia pokładanego w nich zaufania, aby nie korzystali z internetowej możliwości

RODZIC 2.0

Nowoczesny cyfrowy rodzic, zakładający dziecku kontrolę rodzicielską w komputerze, śledzący lokalizację jego telefonu komórkowego oraz optacający usługę powiadomienia SMS-em o każdej nowej ocenie w dzienniku elektronicznym. Takie działania rodzą pytanie, czy on sam w czasach analogowych był wychowywany z obróżą na szyi? Jeśli nie, to pozostaje tylko przytoczyć popularne przysłowie: „Zapomniał wół, jak cielęcim był!”



śledzenia ocen. A raczej korzystali z niej wspólnie ze swoimi pociechami zawsze na dzień-dwa przed wywiadówką. Dla zdecydowanej większości dzieci taki poziom rodzicielskiego nadzoru będzie zupełnie wystarczający.



Cóż jeszcze oferują nowe technologie nadzorcom z Domu Wielkiego Brata? Na przykład: e-legitymację. Taki kawałek plastiku, wielkości karty kredytowej, z mikroczipem, w którym zakodowane są dane osobowe ucznia. Pomysł doskonały, szczególnie, jeżeli (z czasem) połączy się to, powiedzmy, z biletem komunikacji miejskiej, albo nawet rachunkiem bankowym, w celu dokonywania drobnych płatności. Jednak szkoła, która pierwsza w naszej dzielnicy Warszawy wprowadziła ten wynalazek, znalazła dla niego inne zastosowanie, porażające w swojej prostocie. Otóż pełni on funkcję elektronicznego klucza, umożliwiającego uczniowi wejście i wyjście ze szkoły. Wystarczy włożyć e-legitymację do czytnika i... bzzz... zamek u drzwi zostaje zwolniony. Chyba... Chyba, że jest już po dzwonku, a wtedy koniec, Sezam pozostaje zamknięty. Do akcji musi wkroczyć Pani Woźna, która wpuszcza delikwenta do szkoły, odnotowując jego spóźnienie, o ile jakiś centralny system nie odnotował tego automatycznie. Podobna procedura działa przy wyjściu. Jeżeli system stwierdzi, że klasa ma jeszcze lekcje, uczeń nie wyjdzie ze szkoły, chyba że za specjalnym wstawiennictwem Pani Woźnej.

Częste spóźnianie się jest niewątpliwie naganną przypadłością. Ale chyba nie ma człowieka, któremu nie zdarzałoby się ono od czasu do czasu, sporadycznie. Czy naprawdę niezbędne jest w szkole niezawodne wykrycie takiego występku? W imię czego? Jeśli chodzi tutaj o nieuchronność konsekwencji, to jako zdeklarowany zwolennik maksymy „wychowanie to ciągle wybaczenie” uważam, że nic się nie stanie, jeżeli czasem się o czymś po prostu nie dowiem. Jeśli zaś chodzi o zapewnienie maksymalnego bezpieczeństwa, to pozwolę sobie na konkluzję, że e-sprawozdawczość, e-dziennik, e-kontrola dostępu i wiele innych e-, których tutaj nie wymieniłem, tak bardzo zwiększają bezpieczeństwo dzieci w szkole, że aż staje się to... niebezpieczne. Dla ich samodzielności i odpowiedzialności. Czy naprawdę chcemy, by na stałe zamieszkały w Domu Wielkiego Brata?

W NOWYM ROKU SZKOLNYM
BĘZIEMY INFORMOWAĆ
PAŃSTWA NA BIEŻĄCO O
OCENACH PAŃSTWA DZIECI
ZA POŚREDNICTWEM SMS-ÓW



Ten rysunek Marcina Bartosiewicza powstał w roku 1998. Z założenia miał być żartem. Niestety, rzeczywistość szybko przerosła najmielsze przewidywania satyryka.